

Budapeszt miasto przyjazne

Można mieć wątpliwości co do tego, czy na pytanie: jakie jest najpiękniejsze miasto polskie? — 30 milionów głosów opowie się u nas za Warszawą. Jest natomiast bezsporne, iż każdy Węgier, zapytany o najbardziej uroczysty gród naddunajskiej republiki, odpowie bez wahania: Budapeszt.

Odpowiedź ta przy tym nie będzie wynikiem szczególnego spłotu okoliczności; mam na myśli brak innych, ciekawych architektonicznie i urbanistycznie ośrodków miejskich na Węgrzech. Nie brak tam bowiem pięknych miast, że wymienię choćby Pejjes, Sopron, Debreczyn czy Szeged. A jednak Budapeszt króluje — nie zagrożony — co potwierdzają turyści z całej Europy, skłonni wyznaczać temu miastu miejsce w czołówce najurodzajniejszych stolic naszego kontynentu.

Pomijmy kwestie bezpieczeństwa zabytków kultury, pamiętających nawet czasy rzymskie, bo to specjalność wszelkiego rodzaju baedekerów. Pomijmy o Budapeszcie takim, jakim widzi go przybysz, przekładający ponad obiekty, oznaczone w przewodnikach czterema gwiazdkami — to wszystko, co składa się na treść współczesnego życia węgierskiej stolicy.

Więc przede wszystkim bajeczne położenie miasta! Wstęga Dunaju oddziela nowszy Peszt od starej Budy, ongiś skupionej nad rzeką, dziś wspinającej się domami i domkami ku szczytom okalających tę część miasta wzgórz (najwyższe — 529 metrów). Właśnie owe wzgórza, pokryte starodrzewem, poprzetykane tu i tam czerwoną dachówką, wraz z pasmem rojącej się latem od białych tramwajów wodnych rzeki, porożniane nad nią mostami — tworzą urzekającą scenerię. Wrażenia są tak silne, że nasza pamięć odnotowuje je niezwykle wiernie. Rzekłbyś — daleko by się, przy odrobinie artystycznej smykałki, rzucić szkice budapeszteńskiej panoramy wiernie na papier.

To jest dziwne miasto, miasto, z którego (dzięki szczodrości przyrody Budapeszt ma nawet źródła lecznicze) nie potrzeba wyjeżdżać w lecie, a wielu tego wcale nie chce. Sprawną komunikacją miejską przerzucić w ciągu 15–30 minut na zielone tereny, okalające miasto, czy do kąpielisk.

Nie to chyba jednak najbardziej zapada przybyszowi w pamięć. Najobszerniejsze jest to, że w dwumilionowej stolicy Hungarii, pośród ludzi mówiących absolutnie niezrozumia-

łym dla nas językiem, gość znać Wisi czy Warty czuje się jak w domu. Tradycyjna, wieloletnia „przyjaźń”, która teraz, gdy oba nasze kraje weszły na drogę budowy socjalizmu, zyskała wgrunty najpełniejszego rozkwitu — gra chyba decydującą rolę. Są jednak i inne elementy sprawiające, że Budapeszt staje się dla każdego polskiego turysty miastem, które chciałoby się ujrzyć ponownie. Przybysz, poza niezaprzeczalnym pięknem położenia naddunajskiej okolicy i pięknem jego zabytków, wyczuwa tu atmosferę skrzętnej gospodarności obywateli, atmosferę solidnej roboty, dobrze przemyślanych posunięć, czy to w zakresie handlu, czy komunikacji, czy w zakresie organizacji obsługi turystów. Podobna się naturalność mieszkańców, bezpretensjonalność ich ubioru, nieprzeciętne zdyscyplinowanie najmłodszego pokolenia.

I jeszcze jest coś, co czyni Budapeszt miastem niemal swojskim: „Warszawy” na ulicach, „Trybuna Ludu” w kioskach, „Żuki” dowożące sklepem towary, plac Bema z pomnikiem polsko-węgierskiego bohatera narodowego.

Na pewno niektóre z „cech” węgierskiej stolicy można dostrzec w zgletku praskiej czy berlińskiej ulicy. A jednak to nie to samo. Budapeszt urzeka, każe się cenić, zmusza, by za nim tęsknić. Rzym, wieczne miasto, ma to do siebie, że podobno każdy, kto kiedykolwiek je widział, pragnie ujrzyć je po raz wtóry. Nie znam Rzymu, ale to może być prawda; Budapeszt daje tego przedsmak.

A gdy wróci się z Węgier do kraju, do naszych miast czy osiedli — pozostaje wielka doza sentymentu dla wszystkiego, co węgierskie. Słowo daje, inaczej mi się teraz „noś” węgierskie buciki, na wystawach sklepów wzrok w mig odkrywa węgierskie mydła czy — czasami — cukierki, nie bez zadumy pije się importowanego „Tokaja”, czy... lya budapeszteńskie medykamenty.

To są te codzienne, powszechne polsko-węgierskie kontakty. Są one wynikiem doskonałej i co roku umacniającej współpracy między naszymi narodami. Rozwija się ona szczególnie żywo od pięciu lat, kiedy to powołano Polsko-Węgierską Komisję Współpracy Gospodarczej. W roku 1959 zorganizowano spółkę akcyjną „Hallex”, dla wykorzystania i przeróbki śląskich hałd węglowych, prosperującą coraz lepiej. Bardzo pomyślnie rozszerzają współpracę węgierski i polski przemysł farmaceutyczny. Wymiana towarowa między obu krajami obejmuje ustawicznie wydłużającą się listę towarów. Jeździ się z Węgier do Polski i odwrotnie — bez wiz.

A oficjalne wizyty partyjno-rządowe — ta sprężyna pięciu i niedawna — stanowią mocne impulsy do dalszego zacieśniania współpracy z braćmi — Madziarami, wyrastającej ze starych tradycji i znajdującej mocne oparcie w socjalistycznych stosunkach między naszymi narodami.

Bez współpracy nie ma kołaczy

Bez mała dwa lata temu zwiadzałem wraz z zespołem posłów Ziemi Wielkopolskiej — zagłębie konińskie. Nieżyjący już poseł, profesor Marek Kwiek, wybitny uczony, przyglądając się urządzeniom elektrowni w Gosiawicach powiedział mniej więcej tak: przyszłość elektryczności — choć nie najbliższa — w energii jądrowej. Sens jednak w tym, by elektryczność tę uzyskiwać z pominięciem tradycyjnych metod, stosowanych dzisiaj w elektrowniach atomowych. Urządzenia niezbędne do tego celu trzeba będzie budować — z uwagi na ich rozmiary i wydatność — już nie w skali województw, czy nawet krajów, lecz w skali kontynentu.

Wprawdzie takie rozwiązania techniczne to chwilowo fantazja, ale i obecnie ekonomicznie uzasadnione jest budowanie tylko dużych obiektów energetycznych (Konin, Turów). Ba, okazało się, że racjonalnie można gospodarować energią elektryczną dopiero w systemie wielopaństwowym, jaki np. tworzą Polska, CSRS, NRD, Węgry i republiki radzieckie — Ukraina, Białoruś.

Czy od wspólnego systemu energetycznego do międzynarodowej elektrowni kontynentalnej droga daleka? Nie podejmujemy się dać odpowiedzi na to pytanie, ale pewne jest, że gospodarka socjalistyczna zdążyła do posługiwania się dużymi, wyspecjalizowanymi jednostkami produkcyjnymi, do łączenia mniejszych organizmów gospodarczych w większe. Nowoczesny proces technologiczny to produkcja wielkoseryjna, potokowa, automatyzowana, dostarczająca ogromnej ilości tego samego produktu. Dla ich zbytu potrzeba wielkich rynków. Rynki te można tworzyć tylko drogą odpowiedniego podziału pracy, a więc poprzez specjalizację i kooperację produkcji.

Oto i sedno sprawy: dla współczesnych i przewidywanych metod wytwarzania, ramy gospodarki narodowej są za wąskie (odpowiednie warunki po temu ma jedynie Związek Radziecki). Można przeto powiedzieć, oczywiście przesadzając, że dla ich wprowadzenia potrzeba gospodarki kontynentalnej.

Nadto należy dodać, iż aby taką nowoczesną produkcję zorganizować i stale usprawniać, potrzeba ogromnych środków finansowych na inwestycje, potrzeba badań naukowych, skomplikowanych rozwiązań technicznych i organizacyjnych. Każdy kraj socjalistyczny oddzielenie robi nie wiele; połączywszy rozproszone wysiłki — można osiągnąć dużo. Słowem, droga do rozwoju gospodarczego wiedzie przez coraz ściślejszą współpracę a następnie zespolenie ekonomiczne.

Przykładem dobrze pojętego połączenia sił i środków w celu ekonomicznego działania jest Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej — organizacja krajów socjalistycznych. Jej zadania tak określa artykuł I statutu:

„1. RWPG ma na celu przyczynienie się, przez połączenie i koordynację wysiłków krajów będących członkami Rady do planowego rozwoju gospodarki narodowej, przyspieszenia postępu gospodarczego i technicznego w tych krajach, podniesienia poziomu uprzedmiotów krajów o mniej rozwiniętym przemyśle, stałego wzrostu wydajności pracy i nieustannego podnoszenia dobrobytu narodów krajów będących członkami Rady. 2. RWPG opiera się na zasadzie suwerennej

1) Członkami RWPG są: Polska, ZSRR, CSRS, NRD, Rumunia, Węgry, Bułgaria, a od niedawna także Mongolia, Albania, choć jest członkiem, od 1961 r. nie uczestniczy w obradach.

nie innego nie potrafi wymyśleć jak tylko: „To kura, i to kura, a ta kura daje nura”. Natomiast dla dzieci, które już swobodnie czytały i nie potrzebowały ograniczać się słownictwem, pisał z wielkim zapałem.

— **Panie profesorze, co pan myśli o nowo powstałym Elementarzu? Przecież nikt bardziej niż pan, nie jest powołany do oceny, już nie tylko z racji swojego Elementarza, ale z racji swojej owocnej pracy dydaktyczno-twórczej.**

— Na ocenę za wcześnie. Niech nowy Elementarz przejdzie próbę życia, niech się z niego zaczyna uczyć dzieci, a wtedy będzie czas na krytykę.

Rozmawiał:

EWA BERBERYUSZ

równości wszystkich krajów będących członkami Rady...”

Warto tutaj przeciwstawić cele i zadania podobnych organizacji gospodarczych, działających na zachodzie Europy: Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG) i Europejskiego Zrzeszenia Wolnego Handlu (EFTA). U podstaw ich założeń leżą podobne tendencje integracyjne, gdy chodzi o rozwój techniki, wszelako diametralnie różne, gdy sięgnąć po cele polityczne, założenia programowe, czy pojmowanie i realizowanie międzynarodowego podziału pracy.

Głównym celem powstania EWG²⁾ było stworzenie unii gospodarczej dla umocnienia pozycji zachodnio-europejskich monopolu w stosunku do monopolu amerykańskich, a także chęć obniżenia pozycji gospodarczej W. Brytanii EFTA — zmniejszenia pod egidą Anglii, powstała z podobnych pobudek, jako przeciwwaga EWG. Obie separatystyczne, zamknięte organizacje kierują się wyłącznie interesami jej kapitalistycznych udziałowców. Tam się nie mówi o współpracy i pomocy dla krajów gospodarczo słabszych (chyba w charakterze pożyczki), nie

2) Do EWG należą: NRF, Francja, Włochy, Belgia, Holandia i Luksemburg. EFTA skupia: Anglię, Szwecję, Szwajcarię, Austrię, Danię, Norwegię i Portugalie.

dyskutuje problemów współdziałania wszystkich w interesie wszystkich członków. Tam się handluje, zawiera transakcje.

Działalność RWPG natomiast jest przykładem stosunków polityczno-gospodarczych nowego typu, polegających na przyjacielskiej współpracy, korzystnej dla wszystkich uczestników i opartej na poszanowaniu suwerennych praw partnerów. Każde z państw uczestniczących w RWPG, bez względu na to, czy jest małe czy duże, ma jeden głos i żadna uchwała nie może zapasć bez jego zgody. Rada jest organizacją otwartą, dostępną dla każdego państwa, które akceptuje jej cele i zasady oraz przyjmie statut.

Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej powstała w r. 1949, lecz dopiero w 1954 notuje się w jej dziejach pewne ożywienie, a w 1958 r. dalszą aktywizację działania. Początkowo Rada ograniczała się do koordynacji współpracy krajów demokracji ludowej w zakresie obrotu towarowego, później przystąpiła do koordynacji problemów produkcji oraz wprowadzania szerszego podziału pracy pomiędzy krajami uczestniczącymi, by wreszcie przejść do koordynowania wieloletnich

Dokończenie na str. 2

Do naszej redakcji wpłynął ten artykuł z listem następującej treści:

W związku z wprowadzeniem w „Głosie Wielkopolskim” 3/4 listopada 1963 r. zarządzenia wychowania młodzieży i wpływów, jakie mają na to wychowanie rodzice, szkoła, organizacje młodzieżowe, środowisko pt. „Wszystcy jesteście wychowawcami”, Dyrekcja Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Poznaniu przedstawia w załączeniu do wykorzystania artykuł mgr. Aleksandra Wesołowskiego, wzytatora szkół zatrudnionego w Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego.

Dyrektor PBW

(—) Dr TADEUSZ NOZIŃSKI

Wszystcy jesteście wychowawcami

Zły przykład dorosłych

Aleksander Wesołowski

Nie szkole i nie rodzinie pragnę poświęcić niniejszą pogadankę, lecz przygodnym podróżnym w sklepie, ulicznym przechodniom — jednym słowem wszystkim, którzy nie z tytułu obowiązku stykają się w różnych sytuacjach z dziećmi. Do ich świadomości pragnę zaapelować, aby sami osądzili fakty i wyciągnęli wnioski z bardzo częstych obrazków z życia.

Oto pierwszy. Jest ranek, przed godziną ósmą. Na przystanku chmara ludzi tłoczy się przy tramwaju. Na przedni pomost wozu wypcha się z wielką siłą wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, za nim drugi — siwy, dobrze ubrany jegomość. Przy hamulcu obok drzwi stoi 10-letni szczupły, niewysoki chłopiec z torbą na plecach. Jedzie do szkoły. Na pomoście jest tłoczno. Nagle słyszemy tubalny i złośliwy głos:

— Może byś posunął się dalej, co? To skierowany do chłopca głos pasażera, który wsiadł przednim pomostem. „On myśli, że sam jedzie” — przywodził siwy pan. — „No, posuń się, albo idź pieszo!” — wykrzykuje pierwszy i przepycha się. Chłopiec milczy i przyciska się jak może do hamulca, aż żal na niego patrzeć. Przeciśnięty do szyby mój sąsiad zdenerwował się i zaczął bronić malca. — „Czy Pan nie widzi, że to chłopiec z torbą na plecach; gdzie on ma się podziać?”

— „Kup Pan sobie jeszcze jedno okulary! — Weź Pan go sobie na plecy! A co mnie to obchodzi!” — poletywały epitet. Mój sąsiad zamilkł. Starsi panowie zademonstrowali swoją wysoką kulturę. W tramwaju było bardzo cicho.

Inny obrazek. Krzys przed pójściem do szkoły przynosi z pobliskiego sklepu mleko i bułki. Pewnego dnia prócz mleka i bułek sprzedawano także inne artykuły, między innymi kupne wówczas pomidory. Kiedy sprzedawczyni zauważyła, że w kolejkę po mleko stoją tylko dzieci, zaczęła obsługiwać osoby żądające pomidorów. Dzieci długo stały cierpliwie, aż oblać się strach, że nie zdąży do szkoły. Sprzedawczyni nie uważała za stosowne potraktować dzieci jak klientów.

Krzys przybiegł do domu z płaczem, bez mleka. — „Czy dzieci są gorsze niż panie, które przychodzą bez kolejki po pomidory? Czy ta

Pani była grzeczna?” — żalił się chłopiec. Oczywiście, że nie. W sklepie wisi duży napis: „Klient nasz pan — klient ma zawsze rację”. — Czy dziecko szkolne załatwiające zakupy nie jest klientem?

Ulica. Jakże często jest ona miejscem zabaw i bójek dzieci. Większość przechodniów nie reaguje, kiedy gromada chłopców znęca się nad kolegą, kopie go, obala na ziemię i dusi. Nie potrzeba wnikać w motywy bójki, nie bawmy się w sędziów. Przygodny przechodzień winien przeszkodzić takiemu zachowaniu.

Przyjęło się słusznie przekonanie, że ulica źle wychowuje. Istotnie, źle wychowuje bo na ulicy, tak jak w sklepie, w tramwaju, w parku i w innych miejscach publicznych, ludzie dorośli nie czują się skrepowani w swoim zachowaniu obecnością dzieci. Co z tego, że to nie „moje” dziecko? Wszystkie dzieci są „nasze”. Należą do naszego społeczeństwa, do naszego narodu, są jego najmłodszą latoroślą, która nie wyróżnia się samodzielną w godnych naszych zastępców.

Trzeba o tę latorośl dbać i pielęgnować ją nie tylko w domu i w szkole, ale wszędzie, gdzie ku temu nadarzy się okazja. Wszyscy jesteśmy wychowawcami, wszyscy wychowujemy, bo należymy do wychowującej, dorosłej części naszego społeczeństwa.

Na ogół jesteśmy skłonni winić za niepowodzenia wychowawcze przede wszystkim samą młodzież, potem szkołę, na końcu rodziców. Mało kto pomyśli o tym, że w życiu dziecka i w jego wychowaniu olbrzymią rolę odgrywa środowisko społeczne, to znaczy my, ludzie dorośli z wszystkimi swoimi przyzwyczajeniami, zaletami, ze swoją kulturą bycia i stosunkiem do spraw ludzkich.

Problem stosunku wychowawczego dorosłych do dzieci jest tak stary, jak wychowanie. W nim leży tajemnica powodzeń i niepowodzeń wychowawczych.

Im bardziej skomplikowane i nerwowe jest nasze życie, tym większa jest potrzeba pamiętania o konieczności wychowywania młodszych. Najlepszym środkiem wychowawczym jest dobry przykład i wkroczenie w sprawę dziecka wszędzie, gdzie mu się dzieje krzywda.

Pamiętajmy — wszyscy jesteśmy wychowawcami.

„Osa” - wiem, to ta mrówka

ROZMOWA Z „OJCEM ALI I KOTA” —
MARIANEM FALSKIM

Kłóż nie zna elementarza, z którego uczymy się czytać my, nasze dzieci i nasi ojcowie. Kłóż nie zna „Ali co ma kota”? Przecież weszła już ona do rządu naszych rodzinnych, narodowych powiedzonek?

— **Panie profesorze, jak to się zaczęło? Co pana „natchnęło” myślenia stworzenia elementarza?**

— Przypadek. Byłem inżynierem i z dydaktyką nie miałem wówczas nic wspólnego. Kiedyś znajoma poprosiła mnie, żebym ją zastąpił przy uczniu, który będzie głośno czytał. Przysłuchując się temu czytaniu, zauważyłem, że dzieciak niektóre wyrazy odczytywał gładko i szybko, a nad innymi móżolił się w pocie czoła. Gdy go spytałem, dlaczego tak jest, chłopiec odpowiedział, że pewne wyrazy widzi, gdy zamknięty, a innych, ani rusz, nie może sobie wyobrazić.

— **Te zapamiętane to były chyba krótkie i często spotykane?**

— Oczywiście. Przyszło mi wówczas na myśl, czy nie należałoby oprócz nauki czytania na zupełnie innym systemie niż dotychczas. Zamiast uczyć dzieci mozołnego skłaniania liter w sylaby, a sylaby w słowa, czy nie należałoby oprócz się bardziej na ich pamięć wzrokową, dając im zestawy krótkich słów, które by dziecko powtarzało aż do pewnego automatyzowania.

— **Tak czynią Anglicy.**

— Ma pani rację. Sięgałem też do angielskich i amerykańskich wzorów, ale niewiele można było z nich korzystać. Język polski tak bardzo przecież różni się od angielskiego! Nasze długie wielocłonowe wyrazy i końcówki fleksyjne, których nie ma w angielskim, stawiają

przed dydaktykiem zupełnie inne wymagania.

Zaczęłem więc eksperymentować na własną rękę. Zbierałem dzieci na podwórkach czy w parkach i kazałem im czytać ułożone przez siebie cytanki. Chodziło mi głównie o to, w jakiej mierze można liczyć u dzieci na rozpoznanie wyrazów całych, bez sylabizowania. A często zdarzało się i tak, że dziecko rozpoznawało wzór wyrazu, ale nie pamiętało brzmienia. Widząc więc, na przykład słowo „osa”, mówił: „Wiem, wiem, to ta mrówka!” Czerpiąc z tych obserwacji ułożyłem w końcu szkic podręcznika...

— **Kiedy to było?**

— Pierwszy mój elementarz ukazał się w 1910 roku w Krakowie w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy. No, i tak się zaczęło...

— **Przechodziły wojny, zmieniały się ustroje, a Elementarz trwał...**

— Przechodził też i on wiele przeobrażeń. Pracowałem bowiem przez wiele lat nad teorią metodyki nauczania i prowadziłem specjalne badania nad tym zagadnieniem w zakresie psychologii doświadczalnej. Przeobrażenia te dotyczyły zarówno kwestii treściowych i dydaktycznych, jak i graficznych. Zmieniała się szata zewnętrzna książki. Współpracowałem z wieloma rysownikami, między innymi na kartach Elementarza próbowała swoich sił Stryeńska i Maja Berezowska! A pewno nie domyśla się pani, że najniekiedyjsze perły poezji dziecięcej Tuwima powstały właśnie na zamówienie Elementarza. Pamiętam, że iakem się do niego zwrócił, był przerażony i rzeczywiście, zawiodł go próba wpłecenia wierszyków do rozdziałów początkowych. Białal, że

NA SZCZYTACH HINDUKUSZU

W tych dniach powróciła do kraju 9-osobowa ekipa uczestników trzeciej polskiej wyprawy alpinistycznej w Hindukusz. Wyprawa zakończyła się nie notowanym dotąd sukcesem — zdobyto dwa szczyty górskie, których wysokość przekracza 7 tysięcy metrów i dwa o wysokości 6500 metrów.

Po Warszawie, Krakowie i Poznaniu, tym razem ekspedycję zorganizowała Łódź. Alpinistów wyposażono dużym wysiłkiem społecznym. Na cel wyprawy świadczyło ponad 100 różnych instytucji i organizacji, głównie z Łodzi, ale również z innych rejonów kraju. Toteż wyposażenie w sprzęt i żywność było znakomite, łączna waga cennego bagażu — 4 tony.

Jeszcze przed trzema laty Hindukusz — jedno z najwyższych i największych pasm górskich świata leżące na granicy ZSRR, Afganistanu, Pakistanu i Chin — był w całym tego słowa znaczeniu ziemią nieznana. Zwróciła nań uwagę dopiero pierwsza wyprawa polska pod kierunkiem inż. Władysława Chwaśnickiego.

Tego lata obok alpinistów polskich, operowały tam trzy wyprawy austriackie — włoska i szwajcarska pod wodzą słynnego Eiselina, zdobywcy Dhaulagiri.

Ścisłej mówiąc — operowały wcześniej. Nasza ekipa z powodu trudności z transportem bagażu, znacznie się spóźniła. Kiedy w połowie września Eiselin jako ostatni z Europejczyków, zresztą bez większych sukcesów, opuszczał już Hindukusz, Polacy nie mieli jeszcze nic na swym koncie.

Właśnie w tym czasie załamał się ich dwutygodniowy szturm na jeden z najważniejszych szczytów Hindukuszu wschodniego — Szachaur. Szła jesień, robiło się coraz zimniej i wydawało się, że wszystko stracono.

ne. W tak dramatycznej sytuacji należało wycofać się lub... postawić wszystko na jedną kartę. Wybrali tę drugą ewentualność.

W ciągu dziesięciu dni, zakładając po drodze pięć obozów pośrednich, czterech spośród dwunastu członków ekipy osiągnęło najwyższy szczyt masywu — Kishmikhana (7200 metrów). Parę dni wcześniej inną drogą weszli tam Austriacy, oni jednak prowadzili przygotowania... dwa lata, poświęcając w celach rekonesansowych cały zeszłoroczny pobyt pod szczytem.

Już w dwa dni po zdobyciu Kishmikhana inna dwójka Polaków była na nienazwanym szczyście M-2 o wysokości 6500 metrów. Zgłosili wniosek o nazwanie go szczytem im. Broniewskiego. Z doliny Szachaur, odległy o kilkanaście kilometrów od tych dwóch szczytów wystarzał trzeci wierzchołek — Langusta

jąc jeszcze jeden 6-tysięcznik — Auar.

Wyczyn sportowy nie był jedynym celem wyprawy. Prowadzono liczne badania naukowe — kartograficzne, meteorologiczne, dokonano pomiarów teodolitowych całego masywu doliny Szachaur. Przywieziono spory zbiór minerałów i próbek zbóż afgańskich. Lekarz wyprawy zabrał ze sobą specjalne krzesło służące do badań zmysłu słuchu i równowagi na dużych wysokościach. W oparciu o wyniki obserwacji, przystępuje obecnie do pisania pracy naukowej. Z badań skorzysta również Afganistan, ponieważ umówiono się, że wszystkie opracowania zostaną opracowane na angielski i wysłane do Kabulu.

Korzyści odniesie zapewne także nasz handel zagraniczny. Alpinści zostali bowiem wyposażeni w sprzęt i żywność o przeznaczeniu eksportowym. Zdzadza teraz fabrykom dokładne sprawozdania o jakości konserw, sztucznych włókien i wielu innych artykułów w trudnych warunkach transportowych i klimatycznych, w tropikalnych upałach i polarnym zimnie.

W skład wyprawy wchodził: Andrzej Wilczkowski (kierownik), Maciej Gryczyński (lekarz), Tadeusz Bartczak, Marek Grochowski, Tomasz Gozdecki, Bogdan Mac, Andrzej Miller, Jerzy Michalski — wszyscy z Łodzi — oraz Jerzy Warteresiewicz z Warszawy i Antoni Tokarski z Krakowa (obecnie przebywa w Kabulu wraz z ojcem, który reprezentuje tam ONZ). Uzupełniali skład wyprawy przedstawiciele Szkoły Wychowania Fizycznego w Kabulu — Szamsolhak i Aka Mohamed Bahar.

NOWY SUKCES POLSKICH ALPINISTÓW

e Barf. Wstępne pomiary wskazywały, że również przekracza 7 tysięcy metrów.

To, co stało się z Langustą jest wydarzeniem nie notowanym w historii alpinizmu. Wspinaczka trwała tylko 3 dni, przy czym ostatnią noc dwójka zdobywców spędziła bez namiotów. Stanęli na szczyście 27 września. Na przykładzie tego brawurowego ataku widać jak dzięki nowemu, doskonałemu sprzętowi i lepszej sprawności technicznej ludzi — zmienia się i współczesna taktyka zdobywania wysokich gór. Zachęcenie powodzeniem, podjęli alpinści jeszcze jedną próbę pokonania innej drogi niedostępnego Szachaur. Dotarli do wysokości 5900 metrów, tu jednak stanęli im na przeszkodzie 700-metrowej szerokości bariera olbrzymich zwałów lodu, możliwa do przebycia ale w ciągu kilku dni. Było już bardzo zimno, znikły resztki żywności. Zmuszeni więc byli powtórnie się wycofać. Powetowali to sobie częściowo zdobywa-

Eugeniusz Paukszt

Z klasyki polskiej

Najwięcej wznowień naszej klasyki względnie rozpraw na określone tematy opublikował w ostatnim czasie PIW, zatem zajmijmy się dzisiaj książkami tej właśnie oficyny. Na plan pierwszy wysunąłbym nowe wydanie „Pamiętników Jana Chryzostoma Paska”, delikatną, misterną kreską zilustrowane przez Adama Marcyńskiego. Dodatkowym walorem tej edycji tekstu najbardziej chyba żywego i czytelnego ze staropolskich zapisków, jest opracowanie, a nade wszystko wstęp prof. Romana Pollaka, doskonałego znawcy XVII wieku, charakteryzującego Paska na tle jego epoki i wskazującego w jasnym, przejrzystym wykładzie wartości artystyczne tego osobliwego utworu.

W wyborze i z wstępem Andrzeja Kijowskiego ukazały się „Pisma krytyczne” Stanisława Baczyńskiego, wybitnego krytyka okresu międzywojennego, usiłującego oceniać literaturę z socjologicznych pozycji, co prowadzi niejednokrotnie do ciekawych wyników. Znamienne że niektóre studia, jak np. o realizmie, nic nie straciły na swej aktualności.

O TRWAŁE EFEKTY AKCJI „R”

Lipcową uchwałę rządu i CRZZ dotyczącą wydajności pracy, zatrudnienia i funduszu płac (określa się ją mianem akcji „R”) przyniosła już w tym roku poważne rezultaty. Chodzi jednak o to, by nie skończyła się na jednorazowej

Nielypowa premiera. Bez stałej publiczności premierowej, trochę już zobojętniałej i wybrednej i nie w teatrze. U ludzi, którzy rzadko w nim bywają. Na Wildzie. Teatr złożył wizytę swojej potencjalnej publiczności, tej, na którą bardzo liczy, od której spodziewać się teraz będzie rewizji. Premiera „Pokusa” Jana Pawła Gawlika odbyła się w Klubie Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego przy ulicy Roboczej. W samym sercu Wildy. Na spektakl przyszła załoga ZNTK z rodzinami. Sala nabiła po brzegi. Po przedstawieniu kwiaty dla aktorów i dyrektora Teatru i długie brawa. Pierwszy atak na Wildę się udał.

Przedstawienie jest dobrze zrobione. Sztuka współczesna, kameralna, z trzyosobową tylko obsadą aktorską. Adaptacja na nieateatralną scenę nie przysparzała większych trudności. Spektakl sprawdzony już, gra ny z powodzeniem w Zielonej Górze przeniesiony został do Poznania w tej samej obsadzie aktorskiej. Komedia J. P. Gawlika mówi o tym, co doskonale znamy, co sami przeżywamy. O małżeństwie, dokładniej — o historii nieudanego małżeństwa. Banalnej, zwykłej, a niesięty prawdziwej. Fabuła sztuki jest prosta. Zwyczajny trójkąt małżeński, rozmaite drobne sprawy, egoizmy, wzajemna niewola, pieniądze, to co sprawia, że pojawia się ta trzecia, z reguły młoda i ładna dziewczyna. Autor wiedział dobrze, że historia, którą chce opowiedzieć jest po prostu banalna i dlatego dał jej błyskotliwe dialogi i pokazał w niej cały mechanizm narodzin zdrady małżeńskiej. Powiedział też wiele o przyczynach tak dyskutowanego kryzysu współczesnego małżeństwa. Jeśli sztuka ma moral, to ten, że kobieta dzisiejsza powinna pracować zawodowo, inaczej w czterech ścianach domu stanie się nudna, zgorzkniała zbyt wiele oczekująca od męża. Nie sama sztuka, (choć przyznaję, że ma dobry język dialogu, że wiele w niej trafnych obserwacji) ale inscenizacja i aktorstwo wyznaczają rangę tego spektaklu.

Maria Straszewska nadała przedstawieniu nowoczesny i ciekawy kształt

Olgierd Błazewicz

Pokusa

sceniczny. Upodobniła go do słuchowiska radiowego. Wykorzystała efekty akustyczne i muzykę. Tykanie zegara odmierzającego zmarnowane lata. Szmer tłumy komentującej romans dyrektora z sekretarką. Poważną rolę w przedstawieniu odgrywa również scenografia. Prosta, nowoczesna, funkcjonalna. Zmiany miejsca akcji odbywają się błyskawicznie, bez wielkich rekwizytów. Są czytelne, zrozumiałe.

Aktorsko jest to przedstawienie jednym z lepszych. Ona — Halina Winiarska, on — Józef Fryzlewicz należą do najciekawszych aktorów w Poznaniu. Halina Winiarska subtelnie cieniuje rysunek psychologiczny swej scenicznej postaci. Zmienia się ona ciągle. Inna kobietą jest na początku sztuki, inna

TEATR

w jej zakończeniu. Tymczasem upłynęło dwadzieścia lat. Z chorobliwie zazdrosnej, znużonej młodej kobiety, żyjącej marzeniami przeistacza się w rozsądną, która zna rozmiar swej małżeńskiej klęski. Józef Fryzlewicz gra z dużą kulturą i swobodą. Bardzo naturalnie. Bez zbędnego psychologizowania i przeżywania. Jest tym człowiekiem, któremu wszystko udaje się z wyjątkiem małżeństwa i w ogóle miłości. Barbara Zgorzalewicz — to ta trzecia, młoda dziewczyna, sekretarka. Sprawy miłości traktuje prosto, nieco cynicznie. Nie wierzy w dobroć. Kociętuje wyzywającą szefa. Polem go kocha. Dość trudna rola. Wypadła też słabiej od pozostałych. Zwłaszcza w drugiej części przedstawienia.

W sumie spektakl udany. Ciekawy reżysersko i aktorsko. Sztuka nie najlepsza, ale naprawdę dobrych jej dołód brak. No i to już nie wina teatru.

Państwowy Teatr Polski w Poznaniu: „Pokusa” Jana Gawlika, komedia w dwóch częściach, w reżyserii Marii Straszewskiej i scenografii Kazimierza Wiśniewskiego.

Bez współpracy nie ma kołaczy

Dokończenie ze str. 1

programów rozwoju gospodarczego. W roku 1962 został zapoczątkowany nowy etap współdziałania krajów demokracji ludowej. Narada przedstawicieli partii komunistycznych i robotniczych krajów członkowskich RWPg uznała za słuszne pogłębienie współpracy produkcyjno-inwestycyjnej, a tym samym położała kamień węgielny pod wspólny przyszły gmach zespolonej gospodarki socjalistycznej.

Działalność Rady rozwija się niemal z miesiąca na miesiąc. Komisje specjalistyczne Rady i Komitet Wykonawczy mają pełne ręce roboty, co łatwo zauważyć w doniesieniach prasowych.

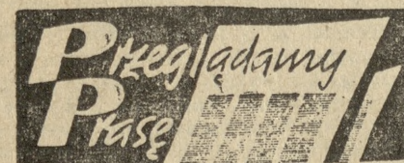
Wynikiem dotychczasowej praktyki są dwie formy współpracy krajów RWPg: współpraca wielostronna i dwustronna. W pierwszym przypadku mowa o koordynacji planów perspektywicznych i inicjowaniu niektórych wspólnych przedsięwzięć, jak rurociąg „Przyjaźń” czy wspomniany wcześniej międzynarodowy system energetyczny.

Nadmienić trzeba, że oddany ostatnio do użytku rurociąg pozwoli zmniejszyć koszty transportu ropy naftowej (obliczenia dla Polski) o 11 dolarów na 1 tonie, licząc 3 tysiące km drogi do przebycia z kopalni w ZSRR do Płocka. Oznacza to, że na ropie sprowadzonej do naszego kraju tylko w roku 1965 rurociąg zarobi około 30 milionów dolarów.

Gdy chodzi o porozumienia dwustronne, mowa o pewnych określonych, niekiedy doraźnych, przedsięwzięciach, których przykładem może być pomoc CSRS dla Polski w eksploatacji siarki, produkcja autobusów „Jelcz” na licencji czeskiej czy krzyżówka „Syreny” z silnikiem „Wartburga”.

Jesteśmy na pewno dopiero u progu zespolenia ekonomicznego krajów socjalistycznych. Ale, jak wiadać, RWPg przysłówiowych gruszek w popiele nie zasypia, czego nowym dowodem może być powołany ostatnio do życia Międzynarodowy Bank Współpracy Gospodarczej.

ZBIGNIEW MIKA



STYL TEATRU I UTWORU

Dyrektor Teatru Narodowego Kazimierz Dejmek mówi w wywiadzie dla „Polityki” m. in. o swoich założeniach repertuarowych. Chciałbym odnotować fragmenty wywiadu, które dotyczyć powinny nie tylko Teatru Narodowego: „Byłoby pożyteczne, aby pamiętać o tym, że Teatr Narodowy nie jest instytucją powołaną do obsługiwaną zmieniających się z sezonu na sezon, z mody na modę gustów i guścików — mówi Dejmek — lecz że jest to instytucja powołana do służenia wszystkim warstwom społecznym. (...) W swojej teatralnej praktyce dorobiłem się (...) przekonania, że nie należy poszukiwać stylu „swojego” teatru, lecz stylu danego utworu danego autora”.

POSZUKIWANIE IDEALU KULTURY

Tygodnik „Kultura” drukuje fragment niepublikowanej książki Jerzego Adamskiego pt. „Poszukiwanie ideału kultury — Punkt widzenia”. Autor stwierdza m. in.: „Myślę, że socjalistyczny model kultury, to rodzaj walki, polemiki, przezwyciężania każdej teorii, tradycji, prak-

tyki życia, które wniesionych i proponowanych przez siebie wartości nie są w stanie doskonale zgódnie z rytmem doskonałości socjalistycznych stosunków społecznych. Ten rytym tworzy całe społeczeństwo, cały naród. Socjalistyczny model kultury może być tylko jego dziełem”.

KOBIETA NA STANOWISKU

Temu tematowi poświęca artykuł Jerzy Poznański na łamach „Polityki”. Autor stwierdza, że kobieta uzyskała u nas równe z mężczyznami prawa, ale jeszcze nie równorzędne pozycje i możliwości ich osiągnięcia (np. kobiety nie awansują na równi z mężczyznami w zawodach, w których są licznie reprezentowane). Publicysta przeprowadził wiele rozmów z osobami na kierowniczych stanowiskach (kobietami i mężczyznami), szukając odpowiedzi na pytanie: dlaczego się tak dzieje? Oto najbardziej charakterystyczne odpowiedzi:

„Kobiety na kierowniczych stanowiskach mają swoje zalety, ale i swoje wady. Tylko, że u nas już tak jest, że takie wady, jak zapamiętanie, apodyktyczność, dawanie upustu sympatiom i antypatiom bardziej szkodzą dobrej pracy, niż pomaga jej żarliwość w robocie (mężczyzna). — To już kwestia tradycji, że mężczyzna czerpie zadowolenie z awansu, ze zdobywania wiedzy i znaczenia, a kobiecie wystarczy samo zadowolenie z tej pracy, jaką wykonuje (kobieta). —

Mamy za dużo zalet, żeby awansować, każdy lubi spokój a nie kłopoty. A my lubimy właśnie kłopoty. I zawsze ich napytamy — tylko więcej sobie niż innym (kobieta). — Kobieta jako działacz nie ma tego autorytetu u ludzi, co mężczyzna (mężczyzna). — Tak już się składa, że kobiety na stanowiskach mają straszne skłonności do kumoterstwa. Może to dlatego, że bardziej są związane z rodziną, znajomymi, przyjaciółmi, bardziej są „dobre” (mężczyzna). — Trudno tak to na razie jest, że kobieta idzie za wysoko, a mąż nie może jej dorównać, to źle się między nimi zaczyna układać i taki mąż naciska na żonę, żeby zrezygnowała z funkcji” (mężczyzna).

Tak więc żyją u nas tysiące szczegółowych przesądów i uprzedzeń wynikających częściowo i z tego, że kobiety jako pracownice i szefowe są chyba rzeczywiście inne. Ale nie usprawiedliwia to przecież postaw dających dyskryminatorskie rezultaty. Bo w gruncie rzeczy ważne jest to, żeby praca była dobrze prowadzona, i żeby ten, kto nią kieruje, miał u ludzi odpowiedni autorytet.”

akcji. Temat ten podejmuje Tadeusz Sapociński w „Tygodniku Demokratycznym” (artykuł „Organizacja — technika — efekty”).

„Sedno sprawy tkwi w przeprowadzeniu odpowiedniej korekty projektów planów przyszłorocznych — pisze autor. Zadania na ten okres muszą w pełni uwzględnić żelazną zasadę, mówiącą, że wydajność wzrastać powinna szybciej niż płace. Stąd wynikają wszystkie pozostałe wskaźniki, przede wszystkim zaś te, które dotyczą zatrudnienia. (...) Podstawą opartej na zdrowych zasadach dyscypliny płac i systematycznego postępu w ekonomicznej organizacji pracy, terminowe wykonywanie zadań z zakresu wprowadzania nowej techniki i technologii, usprawnienie zaopatrzenia stanowisk roboczych w materiały i narzędzia i inne tego rodzaju posunięcia”.

NAJWIŻSZA RACJA

Pismo pracowników służby zdrowia — „Służba Zdrowia” kontynuuje cykl publikacji na temat krytycznej oceny działalności lecznictwa otwartego. W artykule pt. „Najwyższa racja” Anna Szwed tak pisze na ten temat:

„Uznając rację personelu służby zdrowia nie wolno zapomnieć, że

racja pacjenta, racja człowieka cierpiącego jest zawsze ważniejsza”.

Autorka powołuje się na artykuł St. Sterkowicza, zamieszczony w tym samym piśmie:

„Pacjenci potrzebują nieco serdeczności, cierpliwości, wyrozumiałości. Trudno nabyć jednak ten towar w lecznictwie uspołecznionym, chorującym często na zniechęcenie moralne... Każdy pacjent oczekuje potrzeb i chęć prawo, niezbyt zresztą u nas realizowane, korzystania z usług tego lekarza, którego darzy pełnym zaufaniem. Ale czy kto u nas pyta pacjenta, czy darzy on zaufaniem lekarza, na którego jest „skazany”, czy też którym jest „obdarzony”? A właśnie pacjenci niezadowoleni ze swego lekarza rejonowego (takich jest niestety dość dużo), wypełniają poczekalnie różnych lekarzy prywatnych!”.

MIESZCZUCH W PE-GE-ERZE

Roman Burzyński — reporter „Przekroju” trafił do kombinatu Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Manieczkach (powiat Srem), zamieszczając pod cytowanym tu tytułem ciekawy (czyli się 8 minut) reportaż. Warto przeczytać, zainteresuje każdego.

LEKTOR